

ZANIM WYBUCHŁA WOJNA

Urodziłem się 5 lutego 1927 roku w Białymstoku – stolicy Podlasia. Rodzice – Tadeusz i Eugenia z Szymulskich – mieszkali wówczas na prowincji, w majątku Knia-

Rozwijałem się dobrze, odżywiany naturalnym pokarmem matki, przebywając z matką u dziadków, którzy mieli dom z ogrodem na ulicy Sinej 2. Po pewnym czasie powró-



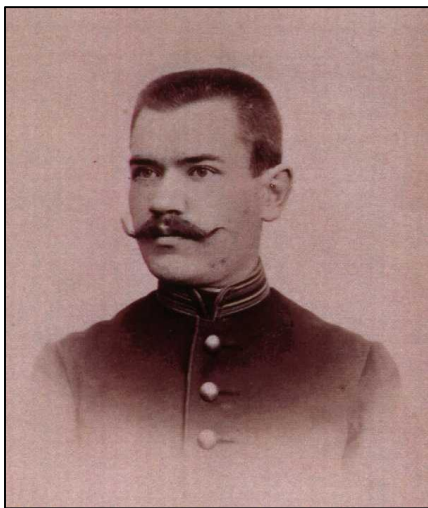
Jan Ursyn Niemcewicz (1830-1900), syn Tadeusza, marszałek szlachty grodzieńskiej, tajny radca stanu. Skoki – pradiadek.

ziewicz, na Grodzieńszczyźnie. W Białymstoku natomiast mieszkali rodzice mojej matki – Aleksander i Marianna Szymulscy, i tam matka udała się przed rozwiązaniem, chcąc zapewnić mi bardziej komfortowe warunki przyjscia na świat.



Marceli Ursyn Niemcewicz (1875-1917), syn Jana. Kniaziewicz – dziadek

ciłem z matką do Kniaziewicz, gdzie spędziłem pierwsze lata mego dzieciństwa. Kniaziewicz byli własnością mego dziadka, Marcelego Ursyn Niemcewicza, żonatego z Zofią z hr. Starzeńskich. Mieli pięcioro dzieci: Michała, Andrzeja,



*Aleksander Szymulski (1867-1938),
dziadek*

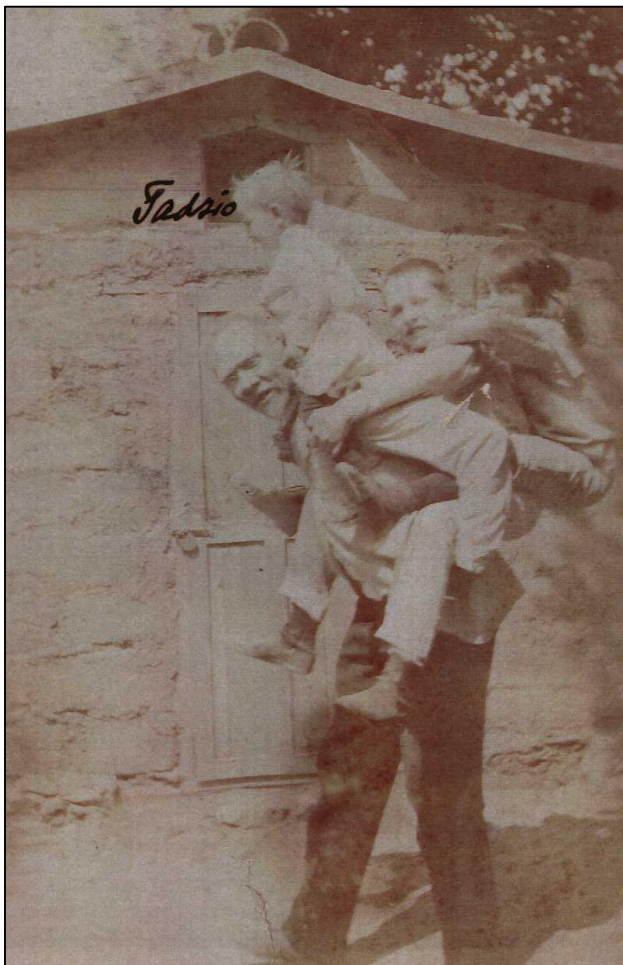


*Marianna z Łagunów Szymulska
(1872-1935), babcia*

Tadeusza, Antoninę i Jadwigę. Majątek Kniaziewiczze podobno obejmował w przeszłości wraz z folwarkiem Mandzin około 1000 ha gruntów ornych wraz z łąkami, nieużytkami i kawałkiem lasu. Potem obszar ten uległ znacznemu zmniejszeniu. Przez włości przepływały dwie malownicze rzeki: Świsłocz i wpadająca do niej Wierciejka. Posiadłość przedzielała bita droga (szosa) łącząca Grodno z Wielką Brzostowicą. Dziadka Marcelęgo nie znałem, zmarł w 1917 roku (podobno w saniach, wracając z polowania). Z opowieści wiem, że był ekscentrykiem. Jeździł na bicyklu (dawnym typie roweru o kołach nierównej wielkości), na widok którego konie ponosiły a wieśniaczki przechodziły na drugą

stronę drogi żegnając się, spluwając przy tym i mówiąc, że „ancychryst jedzie”. Z objazdowego cyrku z Astrachania dziadek kupił kilka jednogarbnych wielbłądów i chciał nimi uprawiać rolę. Pamiętam fotografię dziadka przebranego za Araba i siedzącego na wielbłądzie. Pomysł okazał się całkowicie chybotny. Fornale nie potrafili obchodzić się z egzotycznymi dla nich zwierzętami, które nie słuchały ich i na dodatek opluwały cuchnącą wydzieliną. Wielbłądy zaczęły chorować i zdychać. Część z nich padła, resztę dziadek gdzieś oddał. Babcie Zofię pamiętam bardzo słabo. Mieszkała wraz z synem Andrzejem „we dworze”, bardzo starym, drewnianym, obrośniętym dzikim winem i zapadającym się już w ziemię

niewielkim dworku (nie żadna rezydencja). Rodzice ze mną mieszkali w oddzielnym budynku i tylko stołowali się początkowo we dworze. Pamiętam babcię jak częstowała mnie czekoladą (była już



Marceli Ursyn Niemcewicz z synami: Michałem (najstarszym), Andrzejem i Tadeuszem (najmłodszym) w Kniaziewiczach. Rok 1903.

starszką) i to wszystko.

Z opowieści słyszanych od matki wiem, że życie w Kniaziewiczach miała ciężkie. Narzeczony matki, Władysław Rozwadowski, zmarł od ran odniesionych podczas walk

polko-bolszewickich w 1919 roku. Jej rodzice zdecydowali potem (tak wówczas było), że ma wyjść za mąż za przyjaciela poległego narzeczonego, którym był mój ojciec. Babka Zofia starała się nie dopuścić do zawarcia małżeństwa z „panną nie z tej sfery”. Kazała ojcu iść do miasta i tam szukać sobie zajęcia. Nie chciała dopuścić do podziału majątku i całość zamierzała przekazać najstarszemu synowi – Andrzejowi. Ojciec, po powrocie z wojska w 1921 roku, postanowił osiąść na ojcowiznie, bo kochał ziemię i był do niej przywiązany. Uparł się i na przekór swojej matce i jej

intrygom ożenił się z Eugenią Szymulską, którą szczerze kochał. Ślub odbył się 30 czerwca 1923 roku w Kościele Wniebowzięcia N.M.P. (obecna katedra) w Białymstoku. Nowożeńcy osiedli w Kniaziewiczach i nastąpił podział majątku między dwóch braci (według „Spisu ziemian Rzeczypospolitej Polskiej w roku 1930” ojciec był właścicielem 397 ha ziemi w majątku Kniaziewiczach). Siostra ojca, Jadwiga, wyszła za mąż za Wincentego Krassowskiego i objęła folwark Mandzin (170 ha ziemi według ww. spisu). Drugą córkę, Antoninę, babka oddała do klasztoru Karmelitanek Bosych w Krakowie, a syna Michała (artystę malarza) wysłała w świat (zmarł w niedostatku w San Remo).

Początki gospodarowania w Kniaziewiczach były bardzo trudne. Prawie wszystko uległo zniszczeniu i rozgrabieniu podczas kilkakrotnie przechodzących przez te tereny frontów I Wojny Światowej (1914-1918), a potem wojny polsko-bolszewickiej w 1920 roku. Trzeba było zaczynać niemal od zera. Do tego jeszcze nadeszły lata I Kryzysu Światowego. Jednak, dzięki uporowi i pracowitości, rodzice z każdym rokiem osiąkali pewien postęp. Stryjowi Andrzejowi natomiast gospodarowanie przynosiło same niepowodzenia. Był człowiekiem wykształconym, ale nieudolnym, łatwowiernym i nie

znał się na rolnictwie. Współpraca między braćmi nie układała się dobrze. Dochodziło do zatargów, babka nie mogła zrozumieć dlaczego Tadziowi wszystko się udaje, a Andrzejkowi nie. Do tego babka upokarzała moją matkę skutkiem czego rodzice zaprzestali stołować się we dworze.

Najwcześniejszym wydarzeniem, które utkwilo w mojej pamięci, było awaryjne lądowanie wojskowego aeroplanu w pobliżu naszego domu. Pilot gościł u nas do czasu przybycia ekipy mechaników i naprawy maszyny. Po odlocie przysłał nam swoją fotografię. Pamiętam, że nazywał się Ekiert i stacjonował w Grudziądzu. Potem jeszcze, przelatując kiedyś w pobliżu, zboczył z kursu, okrążył kilkakrotnie nasz dom i pomachał ręką. Co niedziela jeździliśmy parokonną bryczką do kościoła parafialnego w Wielkich Ejsmontach. Za Kniaziewiczami, zaraz po lewej stronie drogi, stał wysoki „majak” (była to drewniana wieża triangulacyjna), tuż za nią niewielki lasek, potem mijaliśmy znajdujące się po prawej stronie Misiewiczce, dalej jechaliśmy szerokim traktem, po którego obu stronach rosły olbrzymie, bardzo stare topole. Pamiętam, że część z nich leżała wyrwana z korzeniami przez trąbę powietrzną. Przejeżdżaliśmy przez majątek Kraśnik, potem wieś Remuciołce i Kajniowce. Dalej już były Ej-

smonty. Często wstępowaliśmy do pp. Jodkowskich w Kraśniku, z którymi rodzice się przyjaźnili. W Kniażewiczach mieszkała z nami p. Jaźwińska. Była to starsza, kulturalna osoba, ale nie pamiętam jaką funkcję u nas pełniła. Utkwiło mi w pamięci jak w okresie poprzedzającym Boże Narodzenie przy jej pomocy wykonywałem ozdoby choinkowe. Używając słomy, kolorowych bibulek, farbek, wydumaszek z jajek produkowaliśmy różne cuda. W owych czasach kupowało się tylko zimne ognie i świeczki z lichtarzykami, resztę trzeba było wykonać samemu. Rodzice byli bardzo zajęci gospodarstwem i życiem ich nie było usłane różami. Przyszła zaraza pryszczycy i wszystkie krowy musiały być wybite. Były to lata kryzysu światowego. Bieda i niedostatek dotknęły wszystkich. Matka opowiadała, że sama musiała wytwarzać nawet mydło. Moje dzieciństwo przebiegało więc w ciężkich czasach. Rodzice nie rozpieszczali mnie i nie kupowali żadnych zabawek. Dbali jednak o to, abym wyrósł na dobrego Polaka. Wpajali we mnie od dziecka patriotyzm i pierwszą rzeczą, której nauczono mnie na pamięć (chyba przed pacierzem) był „Katechizm polskiego dziecka” Władysława Bełzy. Rodzice zadawali pytania, a ja odpowiadałem.

Cytuję:

„Kto ty jesteś? Polak mały!

Jaki znak twój? Orzeł Biały!
Gdzie ty mieszkasz? Między swemi!
W jakim kraju? W polskiej ziemi!
Czym ta ziemia? Mą ojczyzną!
Czym zdobyta? Krwią i blizną!
Czy ją kochasz? Kocham szczerze!
A w co wierzysz? W Polskę wierzę!
Coś ty dla niej? Wierne dziecię!
Coś jej winien? Oddać życie!”

Zacytowałem „Katechizm” w całości ponieważ odnoszę wrażenie, że jest on obecnie zapomniany. Osobiście nie spotkałem dziecka, które by go znało. Takie pojęcia jak honor, patriotyzm, miłość Ojczyzny i tym podobne zostały obecnie (niestety) złożone do lamusa. Ale powracam do przeszłości.

Ojciec, dążąc do całkowitego usamodzielnienia się, uzgodnił zamianę gospodarstwa ze swoją siostrą Jadwinią, która mieszkała wraz z mężem agronomek Wincentym Krassowskim i dwójką dzieci – Magdusią i Januszem – w pobliskim Mandzinie. Tak więc siostra z rodziną przeniosła się do Kniażewicz a ojciec objął po nich Mandzin, szumnie nazwany „majątkiem”. Główną zaletą był fakt, że ojciec rzeczywiście odseparował się od swej matki i brata, z którymi coraz gorzej układało się współżycie oraz to, że się usamodzielniał.

Nie przypominam sobie przeprowadzki do Mandzina. Widocznie wówczas rodzice oddali mnie „na przechowanie” na dłuższy czas do

pp. Jodkowskich, którzy mieszkali w pobliskim majątku Kraśnik. Było to w latach 1931-1932. Matka, będąc w ciąży, wyjechała do rodziców do Białegostoku, gdzie 4 marca 1932 roku przysłała na świat moja siostra – Barbara.

Pobyty w Kraśniku wspominam jak najlepiej. Państwo Jodkowscy byli bezdziećmi. On był administratorem majątku pp. Bispingów z pobliskich Massalan, ona prowadziła dom. Interesowałem się już wówczas książkami, czasopismami i chciałem wiedzieć, co mówią napisy pod ilustracjami. Widząc moje zainteresowanie a mając uzdolnienia pedagogiczne, p. Jodkowska w ciągu kilku miesięcy nauczyła mnie sztuki czytania, pisania i rachowania. Pani Jodkowska była zapalonym wędkarzem. Zabierała mnie często nad rzekę Wiereciejkę płynącą wśród łąk za parkiem dworskim. Wiereciejka była malowniczą, czystą, o naturalnym biegu rzeką, obfitującą w ryby i raki. Niezbyt szeroka, wpadała do Świsłoczy, nad którą leżał Mandzin. Świsłocz była dopływem Niemna.

W Kraśniku poznałem po raz pierwszy prawdziwy smak i aromat herbaty, którą piło się z samowara z dodatkiem konfitur (do dzisiaj jestem miłośnikiem herbaty). Nie musiałem pić gorącego, gotowanego mleka z kożuchami, nieraz z dodatkiem miodu i masła, do czego zmuszała mnie matka i czego nie

znosiłem. Zapamiętałem też wspomniały smak i zapach twardego żółtego sera, który wytwarzano w dużych głowach w miejscowej serowarni. Za obszernym, drewnianym domem pp. Jodkowskich znajdował się ładny ogród kwiatowy, tuż za nim droga a za drogą duży, stary, zdziczały i zaniedbany park dworski. Wśród drzew i krzewów parku widoczny był murowany piętrowy pałac, niezamieszkały, częściowo zrujnowany, straszący ciemnymi oczodołami dawnych okien. Ostrzegano mnie abym się tam nie zbliżał, bo w pałacu mieszka wiedźma. Podobno faktycznie przebywała tam psychicznie chora kobieta, ale nigdy jej nie widziałem.

Liczne budynki gospodarcze w Kraśniku zbudowane były głównie z dużych kamieni polnych. Pamiętam, że na spichrzu była wyryta data 1861 rok. Majątek był prowadzony wzorowo.

Pani Jodkowska panicznie bała się burzy i jak tylko zabłysnęło lub zagrzmiąło w pobliżu, chowała się pod łóżko. Palila dużo papierosów, była znerwicowana, ale dobra. Mąż był flegmatykiem. Wiele im zawdzięczam, gdyż zajęli się mną jak własnym dzieckiem i dzięki ich staraniom opanowałem kurs I klasy powszechnej w 5 roku życia.

Kiedy rodzice urządzili się już jako tako w Mandzinie, zabrali mnie od pp. Jodkowskich do siebie. Zostałem w Mandzinie już swoją

nowonarodzoną siostrzyczkę. Mandzin leżał w podłużnej nizinnej niecce, przez którą przepływała leniwie licznymi zakolami rzeka Świsłocz. Miała swoje stare koryta, bo co pewien czas lubiła zmieniać bieg. Tworzyła naturalne stawy. Rzekę otaczały rozległe, gęste szuwary, w których gnieździło się mnóstwo dzikiego ptactwa. Wody były czyste, obfitujące w ryby i raki (podobnie jak w Wiereciejce). Nieckę okalały w odległości kilku kilometrów piaszczyste wzgórza tworzące, głównie od strony północno-zachodniej, malownicze Góry Mogiłańskie, sięgające 212 m n.p.m. Ziemia, której właścicielem został ojciec, była doskonała (czarnoziem), pszenno-buraczana. Pod warstwą czarnoziemiu znajdowała się dobrej jakości glina, z której wyrabiano cegły. W dolinie Świsłoczy były też torfowiska, które eksploatowano na opał oraz wspaniałe łąki, soczyste, tworzące wiosną barwny kobierzec.

Budynki w Mandzinie były stare, w opłakanym stanie. Jedynie lamus był masywną budowlą z kamienia, podpiwniczoną i pokrytą blachą. Reszta licznych budynków była przeważnie drewniana, kamiennie-drewniana lub ceglana i miała przeciekające dachy. Wymagały pilnego remontu. Ojciec sprowadził maszynę do robienia gontów i szybko pokrył budynki nowym gontem. A budynków było

sporo. Z jednej strony dużego majdanu stała olbrzymia 4-drzwiowa stodoła, stajnia i magazyn zbożowy, z drugiej strony obora, chlewnia i szopa na siano i narzędzia rolnicze. Prócz tego kuźnia, czworaki i nasz budynek mieszkalny. Nie było tam żadnego „dworu”. Istniały, wprawdzie już zarośnięte krzakami, fundamenty i częściowe zręby dużego drewnianego budynku mieszkalnego, który rozebrano, a grube bale zużyto do budowy znajdującego się w pobliżu mostu na Świsłoczy podczas I Wojny Światowej. Rodzice zamieszkali w dawnej zlewni mleka zaadaptowanej na budynek mieszkalny. Był to kilkupo kojowy stary dom, drewniany, z dwoma tak zwanymi bokówkami, dużą kuchnią, dwuczęściową spiżarnią, sienią i gankiem, bez żadnych wygód. Piece opalane głównie torfem, rzadziej drzewem. Oświetlenie oczywiście naftowe.

W Mandzinie rosło dużo starych drzew. Były to rozłożyste, olbrzymie topole i na większości z nich znajdowały się bocianie gniazda. Bociany miały tu dobre warunki do bytowania, więc zlatywało się ich mnóstwo. W drugiej połowie sierpnia sejmikowały na łące za domem przez kilka dni, potem wlatywały zataczając kręgi coraz wyżej i wyżej – i odlatywały do Afryki aby powrócić znów wczesną wiosną. Codziennie pod wieczór przylatywały na rosnące koło naszego domu

drzewa gromady szpaków. Obsiadały je gęsto, śpiewały, a gdy zapadał zmierzch zrywały się wszystkie naraz z wielkim szumem i hałasem, odlatując gęstą chmurą gdzieś na nocleg. Nieprzyjemne były tylko hałaśliwe wrony i kawki. Oblegały drzewa, budowały na nich gniazda i krakały głośno. Walka z nimi była trudna. Ale najgorsza ze wszystkiego była plaga much, z którymi walka była beznadziejna. Nie pomagały siatki w oknach, zasłony w drzwiach, lepy i trutki. Najwięcej było ich w kuchni. Tak było w miesiącach letnich. Zimą było cicho i spokojnie. A zimy na Kresach były prawdziwe – śnieżne i mroźne. Mróz malował na szybach piękne desenie i kwiaty. Nieraz chuchałem długo w zamarznąętą szybę aby zobaczyć, co się dzieje na zewnątrz. Była sanna, dźwięczące na koniach janczary i jakże inny, roziskrzony w słońcu świat. Opatulony, z nogami w futrzanym worku, z przyjemnością jeździłem saniami z rodzicami do kościoła lub gdzie indziej z wizytą.

Z Mandzina rozchodziły się w czterech kierunkach cztery drogi gruntowe. Były one trudno przejezdne w okresach roztopów lub jesiennych deszczy. Najważniejsza była droga prowadząca w kierunku północno-wschodnim do odległej o 3 km szosy, którą kursowały autobusy. Przystanek autobusowy był koło mostu na Świsłoczy, obok

Jarmolicz. Droga ta łączyła nas ze światem. Druga prowadziła na południe przez most na Świsłoczy do osady Szum i dalej. Trzecia biegła aleją klonową na północ. Tuż za aleją droga rozwidła się. Główna prowadziła groblą do Koniuch, boczna odchodziła w kierunku Poczobut. Do gminy i do kościoła mieliśmy znacznie dalej niż z Kniawicz. Mandzin należał do gminy i parafii w Indurze, miasteczka odległego o 12 km. Jeździliśmy tam lekką bryczką, zaprzężoną w parę koni cugowych (Iskrę i Gniadego). Najpierw połączyliśmy drogą do szosy, potem w lewo przez Grajno, za którym następował długi podjazd pod górę. Po przekroczeniu Gór Mogiłańskich szosa prowadziła w dół, obok młyna w Łuckowlanach, przez Prokopowicze, i już było widać Indurę. Kościół stał na skraju miasteczka po prawej stronie, plebania po lewej. Proboszczem był ks. Kunicki. Po nabożeństwie proboszcz zapraszał nas często na plebanię na obiad. Matka napominała mnie: „Wituś, nie zapomnij pocałować księdza w rękę” (może to i wypadało, bo ks. Kunicki był w podeszłym wieku – objął probostwo w Indurze przed I Wojną Światową i kierował nią przez całe 20-lecie międzywojenne). Indura była starym miasteczkiem i zamieszkała była w tym okresie głównie przez Żydów. Pierwszy kościół katolicki istniał tu już w 1522 roku. Nazwa „Indura”

(jak podaje W. Kapryza) wiąże się z odległymi czasami, kiedy na miejscu tej miejscowości stała tylko karczma. Żyd – karczmarz miał urodziwą służącą o imieniu Inda. Niestety, była głupia i mówiono o niej „dura”. Jadący do karczmy mówili: „Jadę do Indy – dury”. Stąd ma wywodzić się nazwa „Indura”.

Z okresu przedszkolnego pamiętam kilka wyjazdów z rodzicami. Jednym z nich był wyjazd do Ciecierówki, położonej w pobliżu Wielkiej Brzostowicy. Był to piękny 1000-hektarowy majątek Jerzego i Ludwika Ursyn Niemcewiczów. Jerzy był bratem stryjecznym mego ojca i dowodził szwadronem, w którym służył ojciec i brat mojej matki, Teodor, podczas wojny polsko-bolszewickiej. Goszczono nas we dworze wspaniale, ale w mojej pamięci utkwił przykry szczegół. Na noc umieszczono mnie na górze, w pokoju sypialnym dzieci: Krzysi, Oleńki i Józia. Rodzice nocowali na dole. Czuję się bardzo nieswojo, a Józio niecnota zaczął mnie straszyć i dokuczać (zawsze sprawiało to mu przyjemność). Doprowadził mnie tym aż do płaczu i rodzice musieli zabrać mnie do siebie. Często jeździłem z rodzicami do pobliskich Olekszcyc, do majątku pp. Sobolewskich, z którymi rodzice się przyjaźnili. Było tam gwarnie i wesoło. Baraszkowałem z dziećmi – Halinką, Jadzią i Puniusiem. Pozostały jak najlepsze wspomnienia.

Jeździłem też kilkakrotnie z rodzicami do Małej Brzostowicy, do majątku pp. Wołkowickich. Byli to starsi, bardzo kulturalni ludzie. Chyba tam w holu stał na dwóch łapach wielki brunatny niedźwiedź. Ojciec popisywał się grą na fortepianie specjalnych utworów muzycznych, używając tylko czarnych klawiszy. Mnie zabawiały piękne, urocze, młode panie grające w krykieta w ogrodzie. Było cudownie. Często gościliśmy u pp. Kozłowskich w majątku Żytoroź koło Indury, a także u pp. Jodkowskich w Kraśniku i u cioci i wuja Krassowskich w Kniaziewiczach. Tylko z ojcem pamiętam wyjazdy do pp. Kozłowskich w majątku Golcie, do p. Kraski w Borysowszczyźnie i do pp. Bispingów w Massalanach. Borysowszczyzna była majątkiem (624 ha z gorzelnią) należącym do Niemcewiczów. Nie pamiętam czy p. Kraska był dzierżawcą czy tylko administratorem. Niemcewicze wówczas tam nie mieszkali. We wspaniałym majątku Massalany, prowadzonym wzorowo przez p. Jana Bispinga, przeżyłem chwile grozy. Ojciec grał w tenisa z p. Bispingiem a mną zajęły się starsze ode mnie o kilka lat miłe panienki (córci pp. Bispingów), pokazały bażantarnie i inne ciekawe rzeczy, a potem posadziły na huśtawce, która była zawieszona na bardzo wysokim konarze drzewa (tak mi się wówczas widziało) i rozbijały mnie

„na całego”. I wówczas właśnie ogarnęła mnie chwila grozy, którą do dzisiaj pamiętam. Nie rozpląkałem się wtedy i udawałem bohatera.

Czasami rodzice zabierali mnie ze sobą autobusem do Grodna – miasta powiatowego odległego o 37 km od Mandzina. Ojciec załatwiał swoje sprawy a matka, korzystając z pobytu w mieście, prowadziła mnie do fryzjera. I tu następowały zabawne sceny. Niech no tylko podeszła do mnie fryzjerka, zrywałem się z fotela, wybiegałem na ulicę i pędziłem przed siebie. Matka ruszała za mną w pogoń, gdy mnie dopadła zgadzałem się na powrót do zakładu fryzjerskiego, ale tylko pod warunkiem, że będzie mnie strzygł fryzjer a nie fryzjerka. Tak więc już od dzieciństwa czułem awersję do kobiet (uwarunkowaną genetycznie, dziedzicznie). Nie znosiłem także czułości, a szczególnie głaskania po głowie, co lubiły czynić kobiety. Wrywałem się wówczas i uciekałem. Ojciec, pomimo że był człowiekiem impulsywnym, wybuchowym, nigdy na mnie nie krzyknął ani nie uderzył. Był dla mnie dobry, ale mało się mną zajmował. Czasami posadził na kolano i podrzucał lekko naśladowując jazdę na koniu. Mówił przy tym: „Jedzie, jedzie pan, pan, na koniku sam, sam. A za panem chłop, chłop, na koniku, hop, hop”. Matka natomiast, pomimo że była z natury łagodna, niejednokrotnie

mnie karciała. Obrywałem głównie za młodszą siostrę. Byłem dzieckiem żywym i psotliwym, siostra lubiła beczeć z byle powodu lub bez powodu. Wystarczyło pokiwać jej palcem i już beczała. Wpadała wówczas matka i tłukła mnie czym popadło. Czułem się niewinnie karcony i z biegiem czasu doprowadziło to do niechętnego ustosunkowania się do siostry. Latem z Warszawy przyjeżdżał Rysio (syn siostry matki – Natalii), to dopiero była zabawa i dokazywanie. Był starszy ode mnie, nauczył mnie palić papierosy i innych zakazanych rzeczy. W naszej rodzinie panowała ogromna serdeczność. Nigdy nie zwracałem się do rodziców przez „ty”, co było wówczas nie do pomyślenia. Zawsze było tylko „mamo”, „mamusiu” lub „tatusiu”. Dawniej obowiązywał szacunek dla rodziców o wiele większy niż obecnie.

Matka miała zainstalowany w jednej z bokówek drewniany warsztat tkacki i tkąła na nim płótno z lnu, którym moszczono drabiniaste wozy zwożące snopy zboża z pola. Zapobiegało to utracie ziarna wysypującego się z kłosów podczas transportu. Z płótna tego robiono też sienniki, prześcieradła i szorstkie ręczniki, które służyły nam przez wiele lat (owoc pracowitości matki mam jeszcze dotychczas). Po żniwach rozstawiano przed domem stoły, zastawiano je różnymi potrawami oraz napojami

i odprawiano dożynki dla wszystkich pracowników. Była muzyka, taniec i śpiewy do późnej nocy.

Pisząc o wyjazdach z rodzicami zapomniałem nadmienić, że niejednokrotnie bywaliśmy u pp. Rzeczyckich, właścicieli młyna wodnego na Świsłoczy w Jannoliczach. Lubilem bawić się z ich dziećmi. Posiadali małą turbinę wytwarzającą elektryczność dla własnych potrzeb. Tam po raz pierwszy zobaczyłem w młynie i w domu pp. Rzeczyckich światło elektryczne.

Rządcą w Mandzinie, jak zapamiętałem z wczesnego dzieciństwa, był p. Hlebowicz. Mieszkał z nami, zajmując jedną z bokówek. Był to starszy pan z sumiastym siwym wąsem – typowy szlachcic. W Święta Bożego Narodzenia rodzice zapowiedzieli, że spodziewają się wizyty św. Mikołaja. Byłem tym przejęty. No i zjawił się wieczorową porą, w czapie maskującej głowę i część twarzy, z długą siwą brodą i w stosownym przebraniu. Przyniósł ze sobą duży wór, z którego wystawały różgi. Coś mnie przepytywał, zastanawiał się Czy dać mi różgę czy prezent, a ja w tym czasie zemdlałem z wrażenia. Okazało się potem, że to był przebrany i ucharakteryzowany p. Hlebowicz.

Przyjeżdżał do nas ksiądz po kołędzie. Odjeżdżał saniami wyładowanymi różnymi produktami. Zawsze był niedostatek pieniędzy i ojciec wołał płacić produktami w

naturze, zamiast gotówką. Zresztą taki był zwyczaj, a pieniądź był wówczas trudny do zdobycia.

Odwiedzał nas czasami Dr Antoni Docha z Żukiewicz – nasz domowy lekarz. Przyjeżdżał motorkiem. Był ciekawym i mądrym człowiekiem. Czasami mnie leczył, choć chorowałem rzadko. Raz dostałem wysypki na całym ciele. Dr Docha kazał matce zaprzestać podawania jajek, którymi byłem zbyt często karmiony, i wysypka ustąpiła. Ale tak było, że na wsi karmiony byłem głównie produktami mlecznymi i kurzymi jajami. Dr Docha własnym sumptem uruchomił w Żukiewiczach mały szpitalik i leczył w nim bezpłatnie ubogich. Był powszechnie szanowany. Jego żona, Janina, była również lekarzem pediatrą. Oboje byli ofiarnymi społecznikami, wspaniałymi ludźmi i zasłużonymi dla rejonu lekarzami.

Cdn.